

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną

KAWIARNIA J. BISANZA

w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter

Kronika tygodniowa.

Druga kronika tygodniowa w listopadzie tradycyjnie rozpocząć się musi od wzmianki o świętym Marcynie, który i w bieżącym roku zrobił nam zawód i zamiast przyjechać na siwym koniku przyszedł piechotą, czem zmartwił kuśnierzy, a rozradował serca biedaków, spodziewających się, że pomimo przepowiedni górali i tegoroczna zima będzie łagodną. Najgorzej wyszły na całym interesie gęsi (proszę tego wyrazu nie brać przenośnie), które w przeddzień uroczystości św. Marcina masowo oddawały gardła pod nóż nielitościwych kucharek.

Padło ich tego roku więcej, niż Włochów w Trypolisie, obchodzono się z nimi z okrucieństwem, na jakie sobie swem niewinnem życiem nie zasłużyły.

Okoliczność tę należałoby uważać za dobry znak, widocznie poprawiły się materialne stosunki w kraju. Tak przynajmniej powiedziałby zawodowy ekonomista.

I ubiegły tydzień obfitował w sensacje.

Rozpoczął ich seryj ukraiński „heroj” Siczynski, który, sprzykizywszy sobie pobyt w dusznych murach stanisławowskiego więzienia, czmychnął, gdzie pieprz rośnie. Jedni powiadają, że buja już swobodnie za oceanem i zakłada ukraińską republikę w Ameryce, drudzy twierdzą, że wyjechał do Trypolisu, inni wreszcie są zdania, że siedzi spokojnie gdzieś na wsi i czeka, aż harmider ustanie i będzie można spokojnie opuścić granice niewdzięcznej Galilei.

Przy tej sposobności wyszło na jaw, że dla niektórych ludzi „ciężkie więzienie” może być bardzo przyjemnem spędzeniem czasu, a niejeden śmiertelnik, czytając sprawozdanie ze stanisławowskiego śledztwa, wzdycha, by kiedyś na starość, po trudach i niewygodach, mógł bodaj w połowie używać takich wywczasów, jak pan Mirosław. Nawet wino nie brakowało!

Faktem jest, że ptaszek wyfrunął, a ten jego wyjazd, czy ucieczka (nazwać go proszę, jak się komu podoba), jest na rękę jedynie rządowi. Rusini nagabywali ciągle rząd centralny, żądając jego uwolnienia i przedstawiając go jako ofiarę polskiej intrygi, niestety nie mogli nic wskórać. Nie chcąc oburzyć całego społeczeństwa, w szczególności zaś Polaków, rząd musiał być konsekwentnym, choć przyznawał w duchu, że uprzywilejowanym „Trypolczykom Wschodu” należałoby się jakiś cukierek.

Ten węzeł gordyjski rozciął sam Siczynski. Według słów posła Baczynskiego należy zwrot ten nie spodziany (a jednak przecież spodziewany!) w jego sprawie uważać za pomyślny dla obu stron, to jest tak dla Rusinów, jak i dla Polaków, Siczynski nie będzie bowiem mógł działać politycznie w kraju, gdzie posiada mnóstwo fanatycznych zwolenników, a postać jego otoczona jest aureolą męczeństwa. Sprawiedliwość będzie jakiś czas narzekać, wreszcie i ona uspokoi się, wszystko powróci do dawnego trybu, a Siczynski wypłynie po jakimś czasie na widowinę polityczną, jeżeli nie tutaj, to gdzieś dalej.

Jedno tylko Ukraińców nie cieszy. Teraz nie będą mogli narzekać na „krzywdę”, bo jej ofiara buja już na wolności. A są jeszcze ludzie, którzy śmiało utrzymywali, że Rusinom-ukraińcom źle się dzieje w Galicji.

Wobec wyników śledztwa, które wykazało do wódnie, że z Siczynskim obchodzono się we więzieniu nadzwyczaj względnie, dziwnymi wydają się biadania *Dila*. Twierdzi ono, że zdrowie bohatera-męczennika pogarszało się z każdym dniem, że od mawiano mu nawet mleka, choć podupadał na zdrowiu i przeciążano robotą... „To zrodziło w nim może plan ucieczki z żywego grobu” kończy organ galicyjskich Ukraińców.

W zupełnej sprzeczności stoją z tem wzmianki reszty prasy, opowiadające o rumieńcach Siczynskiego i zresztą jego własne wynurzenia wobec od wiedzających go przyjaciół, że z pobytu w Stanisławowie jest zupełnie zadowolony.

Prasa ruska na ogół zachowała się z rezerwą, zanotowała sam fakt, wstrzymując się od zbyt licznych komentarzy. We Wiedniu zajmowano się tą sprawą przez dwa dni, *ut aliquid fecisse videatur*, w cichości jednak zatarto ręce i powiedziano z ulgą:

— No! nareszcie!...

Nie dość jednej ucieczki. Zajmowaliśmy się i drugą.

Biuro korespondencyjne doniosło z Paryża, że profesor Sorbony, rodaczka nasza pani Curie-Skłodowska, uciekła za granicę z pewnym jegomościem. Jak więc pierwsza ucieczka miała podkład polityczny, ta znów była erotycznej natury.

Niektóre z naszych pism, polujące przez cały rok bez względu na czas ochronny na kaczki dziennikarskie, powtórzyły skwapliwie niepotwierdzoną wcale wiadomość, inne czekały na potwierdzenie. Pokazało się, że te ostatnie miały rację, pani Skłodowska wyjechała bowiem do Brukseli, ale na kongres naukowy, ataki zaś na jej cześć pochodziły od wrogów, którzy chcieli w ten sposób przeszkodzić w przyznaniu jej nagrody Nobla.

Po wielkim gwałcie jeszcze większa konsternacja, autor notatki w prasie paryskiej leje łzy nad szkaradą swego postępu i dziwi się, w jaki sposób gorączka zawodu mogła go do tego doprowadzić.

— Jedyną pociechę znajduję w tem — powiada — że zwykły dziennikarz, jakim ja jestem, nie byłby w stanie żadnym swym artykułem przyćmić sławy, jaka panią wieńczy, ni zmniejszyć szacunku, jaki ją otacza...

Ow „głęboko wzruszony” Fernand Hauser, „wprowadzony w błąd zgodnemi informacjami”, ma niestety i u nas wielu naśladowców, nie poczuwających się jednak, tak jak on, do skrucy, gdy się ich przekona, że upolowali tylko kaczkę.

Pani Curie-Skłodowska odparła ataki skierowane przeciw sobie, obiecała ścigać sądowo napastników i wykazała całą ohydę ich postępowania. Im zrzęda mina, gdyż pomimo intryg ofiara ich została lauratką Nobla.

Z kolei rzeczy wspomnieć należy o wymianie czułości, których widownią był austriacki parlament. Poseł Malik i Hummer poglaskali się wzajemnie po buzi, ale nie ręką, ale harapem. Ostawione galicyjskie karczmy, gdzie wieśniacy pod wpływem działania alkoholu kłócą się i nieraz pobijają, są jeszcze salonem w porównaniu z tem, co teraz dzieje się w austriackim parlamencie. Różnice w zapatrywaniach politycznych wyrównują posłowie kijami i harapami, niezadowolone swe wyraża publiczność galeryjna przy pomocy rewolwerów. Zupełnie nie przypominają to cywilizowanego społeczeństwa, ale jakiś śródokowo-afrykański szczepek murzyński, do którego nie doszła jeszcze europejska kultura.

A za te ich sympatyczne zabawki my musimy płacić.

Powiadają sobie na ucho, że rząd potrafi wyzyskać ostatnie zajście i rozpędzi parlament, a tymczasem będzie dążyć do wzmocnienia stronnictwa chrześcijańsko społecznego i na niem się oprze w przyszłości.

Czy mu się jednak powiedzie, nie wiadomo, od chwili śmierci Luegera potężne niegdyś stronnictwo uległo zupełnej dezorganizacji i nie ma w swem gronie nikogo, ktoby mógł zastąpić byłego przywódcę. Żadne Gessmany ani Weisskirchnery nie dorosli do tego, obok swego wodza mieli jakieś znaczenie, gdy jego zabrakło i oni utracili dawne „walory”, jeśli mi wolno użyć tak popularnego dziś wyrażenia.

Nie przeszkadza to jednak wszelkim odłamom prasy do wzywania posłów, aby przystąpili już raz do pozytywnej pracy, gdyż inaczej utrzymanie parlamentaryzmu będzie utrudnione.

Wogóle sytuacja w austriackiej Izbie posłów nie przedstawia się wcale wesoło. Przywódcy stronnictw dążą do koalicji i czynią hr. Stürgkhowi trudności, jest już połowa listopada, a nikt nie widzi, w jaki sposób ma Rada państwa zakończyć swe prace. Rezultat dyskusji drożynianej będzie czysto przypadkowy, los ustawy urzędniczej również jest niejasny. Nikt Izby nie prowadzi, nikt nie nadaje jej kierunku. Rząd domaga się czterysta-milionowej pożyczki, już i ona napotka na wielkie trudności, w każdym razie nie będzie w całości dozwoloną. Ugoda czeska w Pradze i Wiedniu stoi tak źle, że gorzej być nie może. *Neue Freie Presse* dziwi się, że tego rodzaju eksperymenty możliwe są w kilka miesięcy po wyborach i przestrzega, że mogłoby przyjść jeszcze raz do wyborów, a ostrożni posłowie powinni się z tem liczyć.

W myśl starej maksymy, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni” postanowił się wybić na widowinę polityczną najstarszy syn cesarza Wilhelma, następca tronu, książę Fryderyk Wilhelm. Jest to sobie jeszcze prawie młodzieniaszek (ur. w r. 1882), piastujący godność pułkownika huzarów. Jak dotąd, siedział sobie spokojnie w Berlinie, ostatnio w Gdańsku i nie mieszał się wcale do polityki. Laury jednak,

jakie papa jego zbiera na tem polu, nie dały mu spać. Zerwał więc z dotychczasową taktyką i gwałtownym ruchem rzucił się w wir życia politycznego.

Parlament niemiecki obradował właśnie nad kwestyą marokańską, w której, dzięki pokojowemu usposobieniu cesarza Wilhelma i pewnej ustepliwości Francji, przyszło wreszcie do porozumienia. To jednak nie podobało się nieodrodnemu synkowi swego taty.

Wziął więc urlop tygodniowy, przybył do Berlina i rozsiadł się wygodnie w łożu dworskiej. Pod czas przemowy kanclerza, Bethmanna Hollwega, uśmiechał się ironicznie i z powątpiewaniem „racy! najmiłościwiej kiwać głową”, oklaskiwał natomiast gorąco ataki na kanclerza i rząd. Szczególniej Anglię zaczepiano ostro, a każda taka wycieczka spotykała się z jego aplauzem.

W ten sposób stanął on po stronie konserwatystów, liberałów i socjalistów, a przeciw własnemu ojcu i w myśl wszechniemieckich intencji pobrzękiwał butnie szabelką, ale wybrał sobie czas nieodpowiedni.

Prasa niemiecka uderzyła na alarm, kanclerz zagroził dymisją. Cesarz wezwał synka *ad audiendum verbum* i zapewne nakiwał mu porządnie, aby się nie pchał, gdzie go nikt nie prosi. Epilogiem onej burzy w szklance wody był familijny obiad w Poczdamie, na którym spotkali się cesarzewicz z kanclerzem i wyrównali różnice zapatrywań.

Wobec tylu i tak ważnych wydarzeń zapomnieliśmy zupełnie o Trypolisie, skąd w dalszym ciągu nadchodzą najrozmaitsze wieści, zależnie od tego, czy otrzymujemy je *via* Rzym, czy też drogą na Konstantynopol. To jedno zdaje się być pewnem, że Turcy biorą górę i prażą Włochów. Niebawem będzie Włochom jeszcze cieplej, gdyż Turcy, za przykładem nieproszonych gości, sprowadzają aeroplany. Walka o Trypolis będzie więc pierwszą w dziejach, w której użyto flot napowietrznych.

Nasz kochany Kraków, obiecawszy kobietom czynne prawo wyborcze do Rady miejskiej, oczekuje cierpliwie, kiedy panowie rzeźnicy zdecydują się wypełnić obietnicę i zniżyć ceny mięsa i wędlin. Nastąpi to zapewne nie tak prędko, bez mięsa obejdziemy się jednak, zwłaszcza, że mamy już miejskie tanie ziemniaki i chleb, który wypieka nam partya socjalno demokratyczna na Podgórzu. Zresztą i adwent za pasem, a wówczas nabożny człowiek patrzy z obrzydzeniem na mięso, tak, jak niektórzy z recenzentów teatralnych na „głęboko wydekoltowany” kostium pani Mrczowskiej w „Kobiecie i pajacu”.

Jednego z nich, i to takiego, który się najbardziej oburzał, a nie opuścił ani jednego spektaklu, zainterpelowałem o to. Oświadczył mi, że tylko dlatego to czyni, by przypadkiem nie dostał biletu któryś z młodszych kolegów redakcyjnych, który łatwo mógłby potem zaprzepaścić swą niewinność i cnotę!... Poczcuiwy!...

Kaftany, Kamizelki, Spodnie, Skarpetki, Rękawiczki, oraz różne ogrzewacze z wełny owczej, wielbłądziej i himalaja

poleca

B. WIERZEJSKI Kraków, Linia A-B, róg ul. Floryańskiej.

Dostawca Związku lekarzy i ekonom. urzędników państw

Skating Rink „Wrotnisko”

w Krakowie — Rajska 12.

Codziennie dwa Seanse sportowe; rano od godz. 10-1, popoł. od godz. 4-11 wieczór przy stałej muzyce. — Popis wyższej jazdy na wrotkach Mr. Hartley'a z Ameryki. — Bufet na miejscu.

Wysokie odznaczenie. Jak nam z Drezna donoszą, została na tegorocznej wystawie higienicznej w Dreźnie między innemi i firma F. A. Sarg's Söhne & Co. c.k. nadworni dostawcy Wiedeń-Berlin-Paryż odznaczoną wielką nagrodą za wystawienie swego słynnego w świecie kremu na zęby „Kalodont” jakoteż ogólną sympatią się cieszących toaletowych mydeł glicerynowych oraz toaletowych artykułów glicerynowych.

Często wyrzuca się za okno pieniądze, które się wydaje na pierze i gotową pościel, jeżeli się nie zwróci do właściwego źródła. Szczególnie przy zakupie pierza należy być uważnym i zwracać się tylko do najpierwszych firm w tej dziedzinie. Polecamy w tym względzie firmę **S. Benisch w Deschenitz Nr. 757 (Czechy)** cieszącą się szerokim uznaniem, która przez sumienną i taną obsługę, stara się każdego kupującego w zupełności zadowolnić. (Patrz inserat).